



Ojciec Dariusz Godawa – misjonarz o wielkim sercu, który w 1994 roku zaczął opiekować się najuboższymi maluchami i nastolatkami w Kamerunie. W sierocińcu, który prowadzi, dzieci mają lepsze warunki do życia i mogą chodzić do szkoły, zamiast pracować od najmłodszych lat.

W
dzisiejszym numerze „Słowo Życia” o. Dariusz Gowada przybliży to, jak wygląda praca
misjonarza oraz realia życia codziennego na Czarnym Kontynencie.

†

– Proszę ojca, jak się zaczęła misyjna przygoda?

– Moja misyjna przygoda zaczęła się w latach 1975-1980, gdy byłem w szkole średniej, w internacie, 150 km od domu. Nie wiem jak i skąd wpadł mi w ręce obrazek, zapłakanego małego murzyńskiego dziecka z napisem proszącym o pomoc. W sercu sobie powiedziałem, że będę takim dzieciom pomagał. Lecz szybko o tym zapomniałem.



Matura, powrót do rodzinnego miasta, 5 lat studiów, rok pracy na uczelni. Jednak, gdzieś na trzecim roku studiów (cywilnych) przez przypadek trafiłem do duszpasterstwa akademickiego, do grupy charyzmatycznej. Spodobały mi się te uniesione ręce, te błogie śpiewy poruszające serca i umysły. A potem trafiłem na rekolekcje akademickie w Konarzewie koło Poznania.

To był luty 1984 roku. Pamiętam, był mróz i śniegu napadało prawie po kolana. Podczas nocnego czuwania adorowaliśmy Najświętszy Sakrament w ogrzewanym kościółku, a coś mi w głębi serca powiedziało: „Wy się tu upajacie Duchem Świętym, ładnie śpiewacie, wznosicie ręce do góry, serca wam się radują chwalać Pana, a gdzieś na świecie miliony dzieci nie mają co jeść i tego waszego Pana Boga nawet nie znają”. Przypomni mi się ten obrazek z internackich czasów. Wstałem, wyszedłem z kościoła na mróz i zacząłem odmawiać Różaniec, chodząc wokół kościoła, by sprawdzić może to poruszenie wewnętrzne się ochłodzi. „Niestety” nie! Po chwili wyszedł za mną na zewnątrz już śp. o. Tomasz i zaczęliśmy rozmawiać. Opowiedziałem mu wszystko i powiedział mi: „Skończ studia i zobaczmy czy nadal będziesz miał to pragnienie pójść na krańce świata”.

Na 4 i 5 roku studiów nadal byłem w grupie charyzmatycznej, grzejąc serducho. Chodziłem na pielgrzymki, codziennie na Mszę Świętą o 7 rano dla studentów. Wtedy stanowczo zdecydowałem, że zaraz po studiach zacznę już nie tylko „machać rękoma”, ale działać.

Wstąpiłem do seminarium w 1986 roku. Od samego początku powiedziałem przełożonym, że chcę wyjechać na misje do Afryki. W 1993 roku wyświęcili mnie na kapłana i 3 tygodnie później byłem już w Kamerunie. I tak jest do dzisiaj. W czerwcu minęło już 27 lat.

– Na czym polega misyjna posługa ojca?

– Pierwsze 16 lat byłem proboszczem w parafii na wschodzie Kamerunu. To była prawie typowa praca parafialna, na terenie obejmującym 7 dzielnic miasta Bertoua i 25 wiosek wzdłuż jednej drogi w lesie tropikalnym. Do końca parafii miałem 220 km. Różnica, prawdopodobnie, z duszpasterstwem w Polsce jest taka, że Kościół w Kamerunie miał wówczas 100 lat, a na terenie parafii zaledwie 40.

W jednej z wiosek byłem pierwszym białym człowiekiem od stworzenia świata. By tam dojść przez 3 dni z chłopakami musieliśmy wycinać ścieżkę w lesie. A lasy są tu inne, niż w Europie.

Katecheza prawie wszędzie jest od podstaw, chrzty odbywają się setkami, do Komunii Świętej mało kto może przystępować (w większości przypadków jest to albo konkubinat, albo wszechobecna poligamia), tylko dzieci po I Komunii i starsze osoby. A tych starszych też za wiele nie ma, ponieważ w Kamerunie osoby po 60 roku życia stanowią tylko 3% społeczeństwa. Jednak lud miejscowy garnie się do Kościoła. Może, najpierw trochę na zasadzie rozrywki, jeżeli ksiądz przyjeżdża raz na dwa miesiące: coś się dzieje, idziemy zobaczyć!

Praca w tych warunkach polega na organizowaniu struktur we wsiach, więc wybór katechisty, czyli tego kto kieruje lokalną wspólnotą i odprawia liturgię Słowa co niedzielę, jakieś mini rady parafialne, założeniu chóru, grupy biblijnej czy Maryjnej. W mieście już jest trochę lepiej, ponieważ przyszedłem po pierwszym proboszczu owej parafii, więc wszystko już w miarę było zorganizowane: codzienna Msza święta i Różaniec w kaplicy, katecheza dla dzieci, różne grupy parafialne. Oprócz tego trzeba tu być jednocześnie i księdzem, i lekarzem, i mechanikiem, i stolarzem, i malarzem, i spawaczem, i nauczycielem, i rolnikiem, i murarzem itp. A można by nawet inaczej powiedzieć, że księdzem jest się tylko w wolnych chwilach.

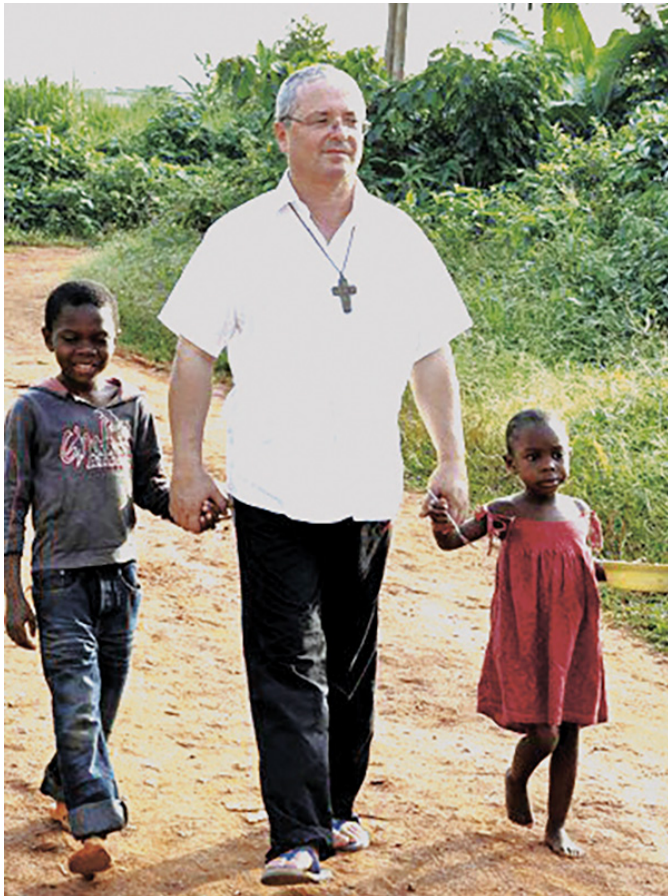
W 2000 roku będąc już prawie sam na plebanii, otworzyłem drzwi dla dzieci z parafii, którym rodzice zmarli na AIDS, albo jakoś inaczej poturbowanych przez los, by zapewnić im dach nad głową, wyżywienie i nauczanie. Za pomocą ludzi dobrej woli, głównie z 9 parafii w Poznaniu, którzy nas wspierali, wysłaliśmy wtedy do szkoły 844 dzieci.

Później w 2007 roku wybudowałem pierwszy sierociniec 300 metrów od plebanii, gdzie już zamieszkało około 25 dzieci. W 2009 roku przeniósłem się do Yaounde, stolicy kraju, i tu w 2011 roku wybudowałem drugi sierociniec, gdzie obecnie mieszka około 35 dzieci z

opiekunami. Więc teraz cała moja praca skupia się na naszym sierocińcu. I dalej „księdzem jestem tylko w wolnych chwilach”: buduje, naprawiam, szukam pieniędzy na wyżywienie, ubranie i leczenie.

– Jak Kościół wygląda tam? Co w nim zastanawia, a co budzi nadzieje?

– Kościół w kraju trochę się różni od naszego europejskiego. Przede wszystkim jest młody, ma zaledwie 130 lat, a w niektórych wioskach nawet jeszcze nie ma wspólnoty. Tu nikomu nie trzeba udowadniać istnienie Pana Boga. Każdy w Niego wierzy i chrześcijanin, i muzułmanin i sekciarz. A sekt jest tu mnóstwo. Pan Bóg jest i nikt w to nawet nie wątpi. W tym jest nadzieja.



Południe kraju jest bardziej chrześcijańskie, a północ bardziej muzułmańska. Na przykład, tu w mieście prawie na każdej taksówce są napisy wychwalające Pana Boga, Matkę Bożą, Allacha czy Mahometa. W każdym urzędzie, przy kasie w sklepie – wszędzie ma być mniejsze lub większe wydanie Biblii. Często wyświechtane, jak psu z gardła wyciągnięte – znaczy, że często czytane. Bóg jest wszechobecny! Piosenkarze częściej śpiewają o Panu Bogu, niż na inne tematy. Także jest baza do pracy duszpasterskiej. Tu jest nadzieja.

Natomiast nie ma jej, gdy mowa jest o moralności. Kościół wprowadzie pełen i w niedzielę i w zwykły dzień, lecz do Komunii mało kto może przystąpić. Konkubinat, prawie nieistniejące małżeństwa sakramentalne i powszechna poligamia. Zwyczaje odnośnie ślubów są tak wykorzenione i skomplikowane, że to jeszcze kilka lub kilkanaście pokoleń musi przejść, zanim tu się coś zmieni i mężczyzna z kobietą najpierw pójdą przed ołtarz, a później zamieszkają razem.

Jednak ludzie są w kościele. Są bardzo zaangażowani, uczestniczą w różnych grupach parafialnych – i jest tu może isierka nadziei.

▮ – *Jakie trudności towarzyszą pracy misjonarza? Czy spotkał się ojciec z zagrożeniem życia?*

– Trudności? Jak jest co robić, to na trudności się nie zwraca uwagi. A tu zawsze jest co robić. Chyba największą trudnością byłaby ta świadomość, że nie jest się stąd, i ciągle będzie coś cię denerwowało, że zostało zrobione po europejsku, a tu trzeba po afrykańsku. „Po co odkładać na jutro to, co można zrobić pojutrze” – mówią. I to jest chyba największy problem wielu misjonarzy. Chcieliby Afrykę nawrócić tak od razu, chcieliby widzieć efekty swojej pracy, a tu kłops – nie w Afryce! Tu trzeba, jak mówią starsi misjonarze do młodych, wyjeżdżających na misję, wziąć ze sobą trzy walizki: w pierwszej cierpliwość, w drugiej cierpliwość i w trzeciej cierpliwość. Inaczej zwariujesz i szybko wrócisz do Europy z przekonaniem, że z nimi nic się nie da zrobić.

Na początku mojego pobytu w Kamerunie mieszkalem z biskupem holenderskim (60 lat tu mieszkał). Byłem ekonomem domu biskupiego i jednocześnie zaczynałem posługę proboszcza. Przynajmniej kilka razy biskup wysyłał mnie: „Darek, jedź do Yaounde po nowego misjonarza”. Przywoziłem młodego zapalonego misjonarza, który chciał zmieniać Afrykę, ponieważ ukończył on Centrum Formacji Misyjnej w Warszawie, to myślał, że wie jak to zrobić.

W końcu większość z tych, których przywoziłem, po paru latach odwoziłem na to samo lotnisko, ponieważ mieli już dosyć murzyńskiego podejścia do życia. Oni chcieli ze złożonymi rękoma przewrócić Afrykę do góry nogami, a tu tak się nie da. Ciągnęli taczki z piachem i cementem, a murzyni patrzyli na „białego głupka” i śmiali się: gdzie mu się tak śpieszy? Tego typu są raczej te trudności, bardziej psychologiczne, ponieważ reszta taka jak klimat, choroby, odżywianie czy warunki życia, to pikuś.

Jeśli chodzi o zagrożenie życia, raz tylko miałem lufę w gardle, na karku i nóż na szyi. Bili mnie pół nocy i w ostatniej chwili zmienili zdanie o tym, by mnie zastrzelić. A poza tym, jest tu spokojnie.

– *Po tak długim pobycie na misjach przychodzi czas na podsumowanie. Z czego ojciec cieszy się najbardziej? Może coś jeszcze chciałby ojciec zrealizować?*

– Z czego cieszę się najbardziej? Że jeszcze nie zwariowałem, będąc od 2003 roku jedynym białym człowiekiem wśród murzynów, że nauczyłem się być cierpliwym wobec tak różnych ludzi i nadal zmieniać świat na lepsze, nie czekając na spektakularne zmiany. Po prostu wykonuję swoją pracę na moim kawałku ziemi.

Cieszę się, że wysłałem do szkoły przez te lata, z pomocą oczywiście dobroczyńców, kilka tysięcy dzieci. Mam 9 wychowanków w Polsce: ktoś jest na studiach, a ktoś już założył rodzinę. Cieszę się, że od 20 lat, z pomocą ludzi dobrej woli, daję schronienie dzieciom i młodzieży, i nadzieję na lepsze jutro. I zdaję sobie sprawę, że bez nas byłiby na tym świecie nikim.

Co chciałbym zrealizować? Już nic! Wytrwać do końca w tym co robię! Już nic mądrzejszego nie wymyślę. Teraz będę aktywnie działał. Ktoś powiedział, że ten, kto wytrwa do końca, będzie zbawiony.

– *Niektórzy mówią, że misjonarzem jest się do końca życia. Jakie jest ojca zdanie na ten temat?*

– Każdy po chrzcie albo jest misjonarzem, albo nie jest chrześcijaninem. Nie można być chrześcijaninem nie będąc misjonarzem. Nie wszyscy mają to szczęście wyjechać na krańce świata, lecz każdy może nie wychodząc ze swojego pokoju czy klasztornej celi być milion razy

„Daję dzieciom nadzieję na lepsze jutro”

Wpisany przez Ангеліна Марцішэўска
11.10.2020 00:00

większym misjonarzem, niż ja. Wystarczy przypomnieć niedawno wspomnianą w liturgii św. Teresę z Lisieux, która jest patronką misji, a nie wysunęła nosa z klasztoru. Wystarczy się modlić za misje jak ona, a kto może i ma z czego – to dzielić się z tymi, którzy są gdzieś daleko, z takimi szczęściarzami, jak ja.